

Kronika tygodniowa.

Tydzień bieżący znajduje się stanowczo pod znakiem litery „w”, zajmują nas bowiem wybory, wyścigi i wojna.

Zanim jednak zabiorę się do powyższego porządku dziennego, muszę kilka słów poświęcić sprawie, którą poruszyłem w poprzedniej kronice.

Zastanawiałem się tam nad strasznymi krzywdami, jakie dzieją się u nas Rusinom i doszedłem do wniosku, popartego rzeczowymi dowodami, iż są oni najbardziej uprzywilejowanym w Galicyi narodem, nawet bowiem dziatwie Izraela, uważającej kraj nasz za ziemię obiecaną, tak się tu dobrze nie dzieje.

W odpowiedzi na to otrzymuję codziennie listy z różnych stron kraju z przedstawieniem faktów, mających stwierdzić, że rzeczywiście dzieje im się krzywda i to o pomstę do nieba wołająca.

Z pomiędzy tych korespondencji wybieram jedną, najwymowniejszą ze wszystkich i pozwolę sobie streścić ją poniżej.

Otóż, w jednym z galicyjskich gimnazyów we wschodniej części kraju była zajęta cała gromada tak zwanych zastępców nauczycieli, czyli suplentów obu narodowości. I jedni i drudzy dopraszały się pokornie, aby przełożona władza, to jest Rada Szkolna krajowa, raczyła ich przenieść do któregoś z miast uniwersyteckich, gdzie są biblioteki i zakłady, ułatwiające przygotowanie się do egzaminu profesorskiego, głos ich był jednak głosem wołającego na pustyni. Rada Szkolna krajowa była jednak nieczułą, odnośny pan inspektor tłumaczył się, że wszystkie miejsca w obu stolicach kraju są zajęte.

Tymczasem zdarzyło się, że jeden z adeptów stanu profesorskiego, narodowości ruskiej, coś zbroił, dyrektor zasuspendował go i zawiadomił o tem Radę szkolną krajową, a ta, przeczytawszy *curriculum vitae* winowajcy, przeniosła go za karę... do Krakowa.

Otóż mój informator uważa to za wielką krzywdę, jaka spotkała młodzieńca, ja zaś dodam, że każdy z suplentów Polaków byłby to uważał za ogromne dobrodziejstwo dla siebie. Byłby się zgodził nawet na przeniesienie na własny koszt, troskliwa bowiem o zbawienie dusz Rada Szkolna krajowa, pamiętając o zdaniu, że „błogosławieni ubodzy”, takimi chciałaby widzieć i suplentów, na koszt przeniesienia asygnuje więc aż pięćdziesiąt koron(!), z których potem każe zwracać prawie połowę.

Bardzo słusznie! Suplent nie ma mieć zbyt wiele pakunków, zupełnie wystarczyć mu powinien parasol i pudełko z kołnierzykami, ze względu na zdrowie drogę, n. p. ze Lwowa do Krakowa, może odbyć pieszo.

Wracając do rzeczy, jestem zupełnie innego zdania, niż pan, oburzający się na niesprawiedliwość Rady Szkolnej krajowej. Ostatecznie zgadzam się, że postąpiono niesprawiedliwie, ale tylko wobec kolegów przeniesionego, którzy wzorowo się prowadzili, łatwo bowiem zdarzenie całe mogłyby mieć następujący epilog (i kto wie, czy go nie miało!):

Dwu suplentów rozmawia na temat swego przeniesienia.

— Mój Boże, jakiejby tu protekcji użyć, aby człowiek mógł się dostać do Krakowa lub Lwowa? — powiada jeden.

— Trzeba chyba coś zbroić, może wtedy przeniosą tam człowieka za karę! — odpowiada drugi.

— Ba!... Kiedy ja nie jestem Rusinem!... — kończy z westchnieniem pierwszy.

I miałby być rację, jeśli tak powiedział, wówczas byłaby go pewnie spotkała taka strasza krzywda!

Na tem kończę wywody, jakie nasunęły mi się pod pióro z okazji tragicznego zgonu ś. p. profesora Butkowskiego. Nie namawiam wcale do bojkotu Rusinów na ziemi polskiej, owszem, jestem zdania, że powinniśmy ich, jako braci stryjecznych, przyjąć gościnnie na swych śmieciach, ale... nie dajmy się za nos wodzić!

A oni pragnęliby doprowadzić do tego, już nie we Lwowie, ale nawet w Krakowie, który chyba nigdy nie miał pretensyi należenia do Ukrainy, nawet najbardziej zachodniej, sięgającej według twierdzenia prof. Hruszewskiego aż poza Nowy Sącz...

Rządowi to na rękę, że oba narody, kraj ten zamieszkujące, drą ze sobą koty. Stara, jeśli się nie mylę, Metternichowska dewiza: *divide et impera* święci w Galicyi tryumfy i ułatwia Wiedniowi kierowanie polityką.

Wracamy jednak do porządku dziennego, który o tyle ulegnie zmianie, że na pierwszy jego punkt wysuwa się wojna.

Serce moje, choć słowiańskiego pochodzenia, roz-

piera gwałtownie radość. Jestem nią wzdęty, niczem krowa, która objadła się koniczyną.

Bo proszę sobie przypomnieć, czy przypadkowo nie przepowiedziałem, że cała bałkańska impreza skończy się na tem, iż członkowie Unii bałkańskiej wezmą się za łby?... Tak jest, są to moje *ipsissima verba*, a kto by chciał zaprzeczyć, tego wyzywam na udeptaną ziemię, pozostawiając mu nawet wybór broni, taki jestem pewny siebie!

Idę jeszcze dalej i prorokuję, że te wiadomości wojenne z Bałkanu to tylko strachy na Lachy, obaj bowiem waleczni, król Piotr i car Ferdynand, straszą się tylko wzajemnie, ale obaj mają przed sobą boja, Europa zresztą nie dopuści do tego, aby sprawy bałkańskie, więc ich familijno-domowe, miały się stać zarzewiem, z którego mogłaby powstać europejska pożoga.

Bułgarzy pamiętają Sliwnicę, nie mają jednak Battenberga, Serbowie zbyt wiele liczą na pomoc zewnętrzną, która ich przecież tyle razy zawiodła!

Wszak znalazł się jakiś serbski dyplomata z pod ciemnej gwiazdy, który obwieścił światu, iż kilka miesięcy temu miała dynastia Karageorgewiczów wielki apetyt na... podzielenie się austriacko-węgierskim terytoryum z swymi politycznymi przyjaciółmi!

Spaliło wówczas na panewce, zdaje się, że i teraz będzie to samo, król Piotr najlepiej zrobi, jeśli się poda na pensję, a podobno już szukają dlań willi pod Genewą, gdzieby mógł spokojnie spędzić stare lata, nie będąc narażonym na widok tak teraz znienawidzonego koburskiego nosa, który chyba nie sięgnie aż do Szwajcaryi.

Czy spełni się i ten dalszy ciąg przepowiedni, nie wiem, prorocy mylą się czasem. Nawet cesarz Wilhelm śmieje się w kufak z pani de Thébes, która wywróżyła na r. 1913 koniec państwa Hohenzollernów i wyraźnie zaznaczył w przemowie swej do Carnegie'go, że z ufnością w przyszłość zaczyna drugie dwudziestopięciolecie swych rządów. Zaprosił go nawet na złoty jubileusz.

Z kolei rzeczy drugie miejsce należy się wyborom, do których przygotowujemy się pełną parą, gdyż są już tuż przed nami. Agitacja wre w całej pełni w mieście i na wsi, na rogach ulic pojawiają się już zwiastuny wyborów, plakaty. Jeden z nich, jeżeli wierzyć „Gazecie poniedziałkowej”, podpisało aż ośmiu nieboszczyków. Świadczyłoby to o ogromnem zajęciu się tą sprawą.

Na brak kandydatów narzekać nie możemy, miał słusność ten, kto powiedział, że będą mnożyć się, jak grzyby po deszczu. W samym Krakowie mamy już trzy listy: mieszczańską, „Nowej Reformy” i endecką, na bieżący tydzień zapowiedziano ich jeszcze kilka, tak, że gotowiśmy doprowadzić do tuzina. Ułatwi to wyborcom orientację, a hyenom pracę agitacyjną, wobec bowiem ogólnej kołowacizny, będą mogły tem łatwiej przeprowadzić „płacących” kandydatów.

W zachodniej Galicyi ludowcy stają do zaciętej walki z endekami i sprzymierzonymi z nimi Stojałowszczykami, którym teraz przewodzi Zamorski. Która partya zwycięży, dotąd nie wiemy, wiadomości bowiem, jakie dochodzą do nas o przebiegu prawyborów, są akurat tak pewne, jak telegramy z pola walki na Bałkanie. Według depesz z Konstantynopola Turcy bili Bułgarów, aż trzaski leciały, *via* Sofia i Belgrad szły wieści, że już ostatni Turek przeprawił się przez Bosfor i uciekł do Azji.

Dziś powtarza się jota w jotę to samo. Prasa popierająca ludowców otrąbiła zwycięstwo pana Jana Stapińskiego na całej linii, przeciwny obóz zawiadamia też o swych sukcesach i zupełnej klęsce ludowców! I tak, w koło Macieju...

Z kuryi wiejskiej nie spodziewajmy się jednak wielkich niespodzianek, tam kielbasa wyborcza i jawność wyborów zrobią swoje, więcej zaciętrzewienia spotka się po miastach, gdzie zetrą się ze sobą najróżnorodniejsze odcienia demokracji, należącej do nowego i starego zakonu.

I tutaj kielbasa wyborcza odegra odpowiednią rolę, przygotowania już w całej pełni. Czuć jej zapach w powietrzu, niejeden biedak łyka jednak na próżno ślinkę, według bowiem dawnej ordynacyi wyborczej, do wyborów sejmowych stosunkowo mało ludności jest dopuszczanej. Nic też dziwnego, że celem ożywienia akcji wyborczej starają się mieszkanki Królestwa Galicyi i Lodomerji o dopuszczenie do urny wyborczej jak najszerszym mas, wyjdzie na tem dobrze przemysł krajowy, głównie zaś święta propinacja.

Jako zupełnie bezstronny człowiek nie popieram osobiście żadnego z kandydatów, co najwyżej mógłbym przemówić za Aronem Gajerem, z którym od lat dwudziestu kilku pozostaję w stosunkach handlowych, nie wiem jednak, czy kandyduje oficjalnie,

gdyż, jak dotąd, nazwiska jego na żadnym afiszu wyborczym nie widziałem.

Wreszcie wspomnieć muszę i o wyścigach, łączącej się z nimi reducie prasy i przybyciu do Krakowa nowego pana namiestnika, a mogę o tem pisać tem swobodniej, iż w żadnej z tych uroczystości udziału nie brałem, nikt więc nie będzie mógł mi zarzucić, że nie jestem bezstronny.

Żałuję, że nie byłem w niedzielę na wyścigach, pan namiestnik byłby bowiem rozmawiał obok trybuny z pewnością ze mną, a nie z panem Rosnerem. Innych dziennikarzy, nie poniedziałkowych, na widok ten przejęła żółta zazdrość, dzięki Bogu przynajmniej, że było ich tam niewielu, reszta urzędowała tymczasem letnią redutę prasy w „Oleandrach”.

I zakrwawili panowie komitetowi serca wielu niewiastom, które spodziewały się, że będą dla swych wdzięków premiowane na konkursie piękności, rozdanie bowiem nagród odłożono do przyszłego tygodnia. Powodem był, o ile się zdaje, niezbyt liczny udział publiczności, która bała się deszczu.

Na ogół reduta wypadła dobrze. Był koncert muzyki i chórów, były confetti i inne śmiejące zabawy, głodomór, wróżby, kabaret, tańce... słowem za koronę, względnie pięć koron, miałeś cały huk rozmałości.

Słyszałem, że podobno przez całe wakacje ma się w „Oleandrach” produkować zupełnie oryginalny głodomór. Ma nim być tymczasowy nauczyciel ludowy młodszy, który zobowiązał się wstrzymać od jedzenia i picia przez dwa miesiące wakacyjne. Kontrolę nad nim obejmie specjalny delegat Rady szkolnej krajowej. W miarę, jeśli powiedzie się przedsięwzięcie, postanowiła Rada szkolna wysnuć z tego odpowiednie wnioski i zastosować je praktycznie.

Wyścigi powiodły się, tak mi przynajmniej opowiadał mój przyjaciel, niejaki pan Totalizatorowicz, który wygrał kilkadziesiąt koron. Lubi on wszystkim robić na przekór, faworytami jego były więc najmniej obstawione konie.

I pokazało się, że miał dobry węch, prawie żadnej stawki nie przegrał.

Ja nie wybieram się na tor wyścigowy, chyba dopiero w przyszłą niedzielę. Wówczas będzie, jak wiadomo, bieg losowania, może poszczęści mi się i wygram jakiego rumaka. A przydałby się!... Jeździłbym sobie codziennie popołudniu z moją starą na spacer.

W totalizatora grać nie myślę, wiem bowiem z doświadczenia, że jako mający szczęście w miłości (inaczej byłbym się chyba nie ożenił), nie miałbym go w grze.

Na zakończenie, aby zgniewać nasze panie sufrażystki, pozwolę sobie zaznaczyć, że nie tylko ja patrzę się dość sceptycznie na różne ich, nibyto szlachetne, porywy. Takich jest więcej, a prym między nimi wiedzie dr. Clairmont, dyrektor austr. Czerwonego Krzyża w Bułgarii, który w sprawozdaniu swem z wojny bałkańskiej oświadcza stanowczo, że prawie sto procent samarytanek nie odpowiedziało swemu zadaniu.

Do sali operacyjnej pchały się gromadnie, aby podrażnić swe nerwy widokiem krwi, gdy jednak trzeba było pomódz choremu, poprawić bandaż, przenieść go na łóżko... cofały się dyskretnie i zostawiały to mężczyznom.

Konkluduje, że na następną wojnę wybierze się już bez damskiego towarzystwa.

I ma rację!



W wielu rodzinach poważną troską jest podawanie dzieciom przy stole zdrowego i dobrego pożywienia. Łatwem będzie to dla każdej gospodyni, gdy użyje recept Dra Oetkera, które czytelnicy tego pisma zamówić mogą kartką korespondencyjną od Dra A. Oetkera, Baden koło Wiednia, a otrzymają je darmo i oplatnie, zawierające cały szereg dobrych recept lekko strawnych legumin i pieczywa. Zeszycik jest wszędzie pożądanym, nie należy więc zapominać kazać go sobie przysłać.

IKA-ABADIE

TUTKI ZE STERYLIZOWANĄ WATĄ

Papier ten wyrabia się z najdelikatniejszych włókien roślinnych bez domieszek - farbowych, wyłącznie we fabrykach

„Société Abadie w Paryżu”

Papier ten pali się lekko i równo i nie wywołuje żadnego drapania w gardle.